

HISTORYCZNA ROLA PZPR

PRZEZ JEJ SZEREGI PRZEWINĘŁO SIĘ
4,5 MLN POLAKÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311409

• TEATR CAPITOL •

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY



KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO
AUTOR
JOHN GRAHAM
MUSYKA
ELŻBIETA WISZNAK

O co biega?

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru



Niech się święci 1 Maja

Wyborcy, którzy wynieśli do władzy rządzącą koalicję, są jeszcze pod wrażeniem odsunięcia PiS. Ale atmosfera świętowania długo nie potrwa. Problemów, które mamy na co dzień, nie ubywa, wręcz odwrotnie. Ciche narzekanie może przejść w bardziej dynamiczne formy. Tym szybciej, że cierpliwość nie jest cechą, z której Polacy są znani.

Co sympatyków tej władzy najbardziej irytuje? Szybkość, z jaką partie weszły w buty poprzedników wbrew intencjom wielu milionów wyborców, którzy 15 października zdecydowali o wyniku głosowania. Po paru miesiącach o wyborcach cicho, słyszymy za to, że wygrały partie. I widzimy, jak te partie traktują państwo. Jak łup do zagarnięcia. W systemie zarządzania państwem zabrakło miejsca dla organizacji pozarządowych, ruchów społecznych i bezpartyjnych ekspertów. Miało być demokratyczniej, z nominacjami po otwartych dla wszystkich konkursach, a jest mały krąg decydujący o powołaniach na stanowiska.

Wyborcy już zrobili swoje. Teraz władza jest w rękach partyjnych wodzów i wodzusiów. Niestety, zapomnieli oni, że ich wyborcy to nie wyznawcy jak w przypadku Kaczyńskiego i PiS. By kogoś popierać i za czymś obstać, muszą mieć argumenty. A tych zaczyna ubywać. Sposób wyłonienia kandydatów na europosłów jest we

wszystkich partiach bardzo podobny. Decydują szefowie, z małym, niejawnym zespołem. Nie ma czytelnych kryteriów. Do Brukseli może jechać przestępca i kompletny matof. Ludzie to widzą i po prostu nie wezmą udziału w takich wyborach. Czerwiec to też data graniczna w traktowaniu rządu Tuska. By mu nie szkodzić, wielu dotychczasowych sojuszników wstrzymuje się z bardziej krytycznymi ocenami. Za kilka tygodni mleko się rozleje – pojawią się analizy stanu państwa. I realizacji obietnic.

Kłamstwa zwykle mają krótkie nóżki. Choć kłamstwa historyczne mogą trwać całe dekady. Tak jak kompletnie załgana historia PZPR. Pisze o niej autor zbyt młody, by mógł go dopaść IPN. Niestety, miliony jej byłych członków skromnie bronią swoich życiorysów. Jako tygodnik robimy to my. Na tyle, na ile mamy mocy. Ale by skala była większa, potrzebujemy pomocy i waszego wsparcia finansowego.

Drodzy Czytelnicy, pomyślcie, co w tej sprawie można zrobić.

A na razie niech się święci 1 Maja. Jest okazja do wspomnień w czasie długiej majówki.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



Oferta specjalna
PRZEGLĄDU

MAJÓWKA Z NASZĄ
DOBĄ KSIĄŻKA

-25%

na
WSZYSTKIE
książki
i e-booki

z kodem: **MAJ2024** tylko do **3.05**

UWAGA:
promocja łączy się z innymi rabatami!



sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Do kogo naprawdę trafiają środki na pomoc Ukrainie?**
- 56 Uchronić przed mafią**
Włoski program dla dzieci przestępców
- 58 Można pojechać do Pragi**
Czeska ironia się przydaje

KRAJ

- 10 20 lat w Unii. Stodko-gorzka rocznica**
– rozmowa z dr. Markiem Grelą
- 22 Platforma wzięta Kraków**
Brudna kampania podzieliła miasto
- 24 Samorządy i nierządy**
Września: burmistrz z zarzutami, ale wybrany
- 26 Gen Z ma talent**
Kombinacje posta Gomoły
- 30 Od „Króla żelatyny” do „Króla nerek”**
Lobbying w Polsce
- 34 Uber drożeje**
I bardzo dobrze!
- 43 Mural Modzelewskiego**
Stołeczne Bielany pamiętają

HISTORIA

- 16 Historyczna rola PZPR**
Partia masowa, nie ciało obce
- 36 Kłopotów przysparzać nie będziemy**
Kontakty prymasa Wyszyńskiego z władzami

OPINIE

- 40 Krzysztof Janik**
Jak odbudować lewicę?
- 44 Robert E. Hunter**
NATO na rozdrożu

KULTURA

- 46 Jedno wesele niczego nie zmieni**
– rozmowa z Mają Kleczewską i Grzegorzem Niziołkiem
- 50 Hasior – Rycharski; zmiany w toku**
Twórczość obu to głośny krzyk
- 52 Culturalia**
- 66 Szukalski – Znak Potopu**

OBSERWACJE

- 54 World Press Photo 2024**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Niech się święci 1 Maja
- 15 Stanisław Filipowicz**
Rozdarcie
- 21 Jan Widacki**
Kraków bez Majchrowskiego
- 29 Andrzej Romanowski**
Caroline Unger
- 33 Roman Kurkiewicz**
Wódka w kranie, mocium panie
- 53 Tomasz Jastrun**
Nie wierz lustrom
- 57 Wojciech Kuczok**
Stan przedzałobowy

46

KULTURA



JEDNO WESELE NICZEGO NIE ZMIENI

– rozmowa z Mają Kleczewską i Grzegorzem Niziołkiem



54

OBSERWACJE

WORLD PRESS PHOTO 2024



58

ZAGRANICA

MOŻNA POJECHAĆ DO PRAGI

Czeska ironia się przydaje

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS



✉ Z wozu czy do rydwanu?

Pisząc o oczekiwanych zmianach w polityce kulturalnej państwa, Tomasz Miłkowski przedstawia dwie kategorie relacji polityków i artystów. Pierwsza, gdy artyści są dla polityków uciążliwym balastem, którego najlepiej się pozbyć; druga – gdy pojawia się chęć „wzięcia artystów pod but”. Jest według mnie w tych relacjach jeszcze trzecia kategoria, obejmująca zapewne najmniej liczną grupę, a mimo to zasługująca na zauważenie.



To ci, którzy swoje zadania wobec artystów traktują jako pomoc i opiekę nad twórcą i ich dziełem. Jako wiceminister kultury w latach 2001-2005 starałem się tworzyć taką właśnie nieliczną grupę.

Sprawa druga to podany przez red. Miłkowskiego przykład Państwowego Instytutu Wydawniczego. Pisze autor o bezradności władz wobec zagrożenia likwidacją PIW. Panie Redaktorze, to ja, dyrektor PIW w latach 2005-2015, byłem bezradny, tak jak i grono jego obrońców. Władza z premedytacją dążyła do likwidacji zasłużonego wydawnictwa. Minister skarbu, który je nadzorował, mocno naciągnął fakty, by mieć argument za likwidacją, a „przejściowa” minister kultury, miast ratować dobro kultury, wtórowała mu w oszczędnościach na temat kondycji PIW. Próbę pomocy podjęli jedynie wicemarszałek Sejmu Jerzy Wenderlich oraz posłowie Krystyna Łybacka i Tadeusz Lwiński. Ich właśnie zaliczyć trzeba do wspomnianej grupy polityków świadomie pomagającej kulturze i artystom.

Rafał Skąpski

f Najstabsze ogniwa

Wybory parlamentarne pokazały, że lewica jest w bardzo słabej kondycji, nie powinna więc wchodzić do rządu. Rząd byłby mniejszościowy, ale popierany przez lewicę. To dawałoby możliwość realizowania własnych postulatów. A tak dostali stanowiska, więc są zadowoleni, ale jednocześnie pod ścianą. Tłumieni przez Tuska, który rozgrywa swoją partię szachów, a lewica jest tylko pionkiem na szachownicy. Jej głos nie jest już lewicowy, tylko dostosawczy, jak wystąpienia lewicowego wiceministra spraw zagranicznych w kwestii Ukrainy czy Izraela.

Andrzej Kościński

Za każdym razem, kiedy wchodzę do internetu, widzę Mentzena albo Bosaka, czasem może Żukowską – słabe partie powinny być wyraziste w mediach, ale Lewica nie jest. Jeśli walcząc w polityce dosłownie o przeżycie, nie potrafisz być wyrazisty, to po prostu toniesz. Ciepłą wodą to może być partia, która zdobyła duże poparcie wielu różnych grup wyborców. Pewnie będzie tak, że ci, którzy poszli do ministerstw, dostaną kiedyś propozycję od Tuska, że mogą z nim zostać, porzucając Lewicę, wielu skorzysta jak zwykle.

Liderzy partii Razem myśleli, że gdy dostaną się do Sejmu, będą się do nich garnąć rzesze nowych ludzi, a u mnie lokalnie nastąpiło zjawisko odwrotne i osoby związane z Razem działają w niezależnych ruchach miejskich albo gdzie indziej. Skoro liderzy grali tylko na siebie, dlaczego na dole ludzie mają wierzyć w organizację? Przykład idzie z góry.

To, że Lewica funkcjonuje tak samo jak inne partie, akurat działa na jej niekorzyść, bo po prostu przeczy wartościom oficjalnie przez nią głoszonym. A czy dalibyśmy coś wartościowego na przechowanie komuś, kto ewidentnie nawija nam makaron na uszy?

Łukaszko Walczuk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Protest propalestyńskich studentów na kampusie Uniwersytetu Teksasa w Austin przeciwko wojnie między Izraelem a Hamasem. 24 kwietnia 2024 r.

Najwięcej w historii, bo aż **37,4 mld ton dwutlenku węgla** wyrzuciła ludzkość do atmosfery w 2023 r.

25 mln zł wydano za rządów PiS na ochronę miesięcznik smoleńskich w Warszawie i ponad 2 mln zł w Krakowie. Ochrona domu Kaczyńskiego na Żoliborzu kosztowała 7,3 mln zł, a patrole policji przed siedzibą PiS na Nowogrodzkiej prawie 700 tys. zł.

Bezczelność i bezkarność Antoniego Macierewicza możemy obserwować na wszystkich stanowiskach, które pełnił. Porównywalnego z nim szkodnika nie ma w historii Polski po 1945 r. **Brednie podkomisji smoleńskiej kosztowały 33 mln zł**, w tym 12,5 mln zł wydano na pensje bredzistów.

Zmarł prof. Hieronim Kubiak, socjolog, przewodniczący Rady Okręgowej ZSP w Krakowie, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowskiej Akademii im. Frycza Modrzewskiego, czołowy reprezentant reformatorskiego skrzydła PZPR, członek Biura Politycznego i sekretarz KC, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Działacz państwowy. Członek założyciel i wieloletni prezes Stowarzyszenia „Kuznica”. Żegnaj, Profesorze.

Ogromna strata NBP za 2023 r. sięga 20,8 mld zł.

W latach 2017-2022 inwigilacji Pegasusem poddano **578 osób** z wniosków CBA, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, ABW i policji.

Gen. Mirosław Różański, senator Trzeciej Drogi, zwrócił się do ministra obrony o zmianę przepisów dotyczących asysty wojskowej podczas ceremonii

pogrzebowych żołnierzy rezerwy w stanie spoczynku i usunięcie IPN oraz Wojskowego Biura Historycznego jako instytucji wydających opinie w tej sprawie.

Firmy z Podlasia i Lubelszczyzny poszkodowane w wyniku wprowadzenia tam stanu wyjątkowego i zamykania przejść granicznych decyzją premiera Morawieckiego z kwietnia 2023 r. **miały otrzymać 100 mln zł w ramach „Tarczy dla pogranicza”**. Niestety, była to jeszcze jedna fikcja, z której nic nie wyszło.

Człowiek z gaśnicą, czyli kabaretowy minister rolnictwa **Robert Telus**, nie jest takim gamoniem, na jakiego wygląda. Polityk PiS, a konkretnie jego żona i córka dzierżawią 15 ha od Lasów Państwowych i prowadzą hodowlę ok. 40 koników polskich. **Kontrola ujawniła trzy padłe zwierzęta w stawie i martwego żrebaka pod plandeką.**

Prof. Alojzy Nowak po raz kolejny został wybrany na rektora Uniwersytetu Warszawskiego.

Na trzy miesiące więzienia i rok prac społecznych został prawomocnie skazany za torturowanie psa **były senator PiS Waldemar Bonkowski**. W 2021 r. przywiązał owczarka kaukaskiego do haka samochodu i włókł po jezdni. Pies nie przeżył.

W 2023 r. cudzoziemcy, głównie z Ukrainy, Gruzji i Białorusi, uczestniczyli w 2186 wypadkach, w których 280 osób straciło życie. Główną przyczyną były: prędkość, wymuszanie pierwszeństwa i nieustąpienie pierwszeństwa pieszym na pasach.

PRZEBŁYSKI

Aforyzmy prof. Grzegorza W. Kołodko

Zrozumieć znaczy zmieniać.
Prędej nadejdzie koniec świata niż koniec historii.
Rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz.
Najtrudniej dostrzec to, czego nie widać.
Wejść dwa razy do tej samej rzeki się nie da, ale dwa razy wdepnąć w to samo bagno można.
Nie wystarczy mieć rację, trzeba jeszcze mieć większość.
Cudów nie ma, bywają za to szczęśliwe zbiegi okoliczności.

Atomowy Duda

Między ciągiem wizyt w sądach Donald Trump podjął kolację prezydenta Dudę. I „wiceprezydenta” Mastalerka, który ten posiłek załatwił. Jak wiadomo, w polityce nie ma darmowych obiadów. Co potwierdził Duda w rozmowie z „Faktem”, mówiąc, że „od USA nic nie dostaniemy w prezencie”.

Znany z dewocji Duda spotkał się z całkowicie bezpruderyjnym Trumpem, który zapłacił 130 tys. dol. gwiazdce porno za to, by nie opowiadała, na co stać Trumpa w łóżku. I sprawa by przyschła, gdyby Trump nie rozliczył tego milczenia jako usługi prawniczej. Patologiczny oszust się nie zmienia.

Dudzie kolacja z fanem łatwego seksu tak zaszkodziła, że zaczął bajdurzyć o broni atomowej w Polsce. Nic z tego nie będzie, bo za Dudę Amerykanie nie dadzą nawet starej armaty.



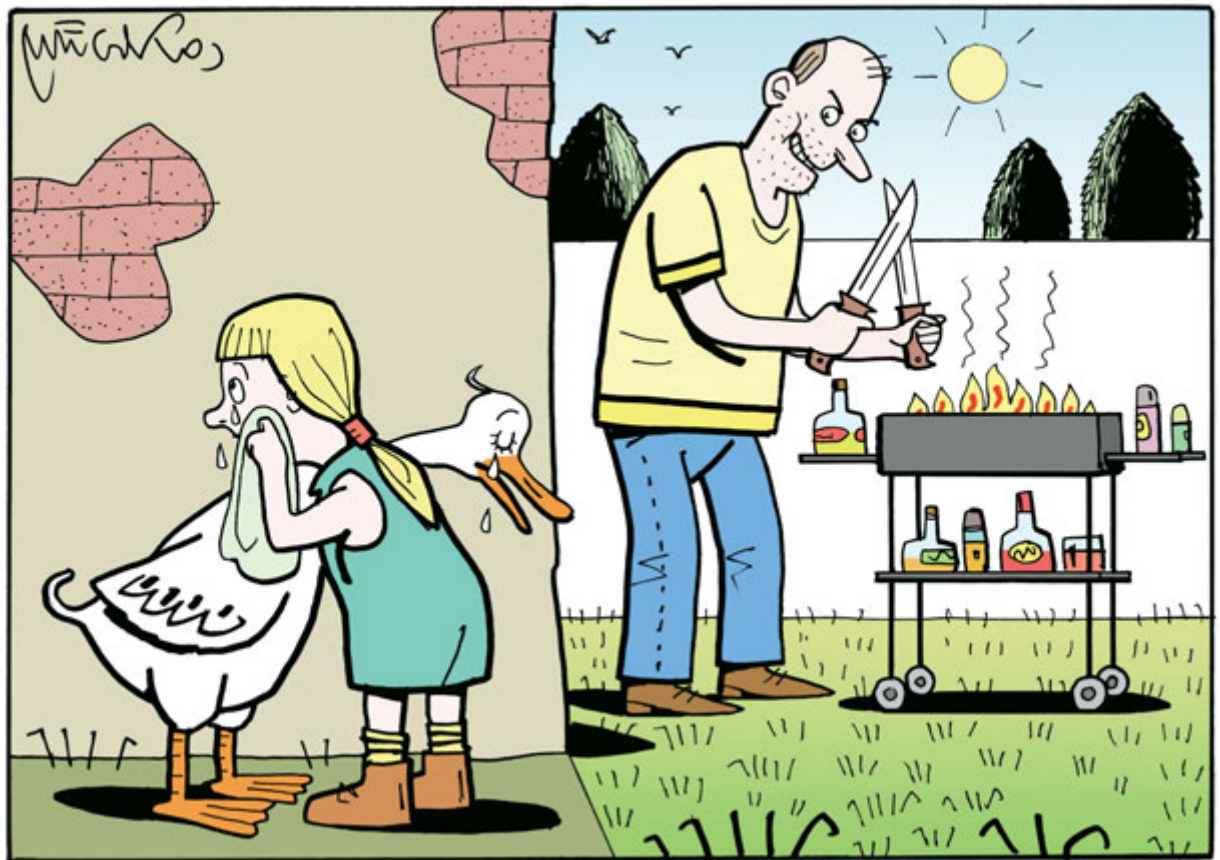
Ksiądz skandalista

Na kara z pewnością nie zniechęci naśladowców ks. Andrzeja Dębskiego. Skandalista z Białegostoku w lipcu 2022 r. dał się poznać z tekstów, którymi zachęcał do seksu internetkę Olę. Na wideo, które jej przesłał, słyszymy: „Będziesz suką do spełniania moich poleceń, zachcianek, a będzie ich dużo”. Przebojem internetu było też dość perwersyjne zachęcanie Oli do kontaktu z księdzem: „Będziesz pierwszą kobietą w historii wyr... w gabinecie metropolity białostockiego”. Nie spodobało się to oczywiście gospodarzowi gabinetu, który pozbawił ks. Andrzeja prawa do posług i sutanny. Watykan był dużo łaskawszy. Kara ogranicza się do czteroletniego zakazu i dwóch lat pod kuratelą. Miłosierdzie. Ale czy Ola będzie czekać?

Piesiewicz jak Violetka

Kto spodziewał się, że Radostaw Piesiewicz, z łąski PiS prezes PKOl, zrobi wreszcie coś sensownego, musi czekać dalej. I oglądać bardzo z siebie zadowolonego kumpla ekswicypremiera Sasina. Tudzież stroje Polaków na olimpiadę w Paryżu. Piesiewicz postawił na Adidas a słabo znaną polską markę Bizuu. Umowa ma obowiązywać do 2028 r. i została podpisana bez wiedzy ministra sportu Nitrasa. No i jest prawie jak w serialu „Ranczo”. Wszyscy są z Violetki zadowoleni, a ty jeden nie. Tyle że odwrotnie. Piesiewicz jest ze strojów olimpijskich bardzo zadowolony, a internauci wręcz przeciwnie: „Te stroje to tragedia”, „Bluzy jak wyciągnięte psu z gardła”, „Straszna żenada”, „Kobiety wyglądają jak każda typowa Julka chodząca na siłownię, a mężczyźni jak bogaty Seba”. Ale są też zadowoleni z estetyki strojów. Najwięcej ich wśród tych, którzy dostają kasę od PKOl. Sporteczeństwo niestety znowu nie dorosło do wizji Piesiewicza.





PYTANIE TYGODNIA

Jak dziś obchodzić 1 Maja?

PIOTR SZUMLEWICZ,
*przewodniczący Związku Zawodowego
Związkowa Alternatywa*

1 Maja to święto narodowe, czyli dzień ustawowo wolny od pracy. Tego dnia warto więc przede wszystkim odpocząć! Ale też w Święto Pracy setki tysięcy ludzi pracują – pracownicy handlu, gastronomii, transportu, ochrony zdrowia, energetyki czy rozrywki. Zdecydowana większość otrzymuje niskie płace, które nie różnią się od tych wypłacanych im za pracę w dni powszednie. Dlatego proponuję, by wpisać do Kodeksu pracy zasadę, że za każdą pracę w niedzielę i święta pracodawcy musieliby wypłacać pracownikom dwuipółkrotnie wyższe wynagrodzenia. A czy warto tego dnia organizować manifestacje? Myślę, że w Polsce ten zwyczaj się wypalił. Demonstracje pierwszomajowe od

wielu lat są mało liczne i zrytualizowane. Ponadto tego dnia wszystkie liczące się instytucje są zamknięte. Nikt nie wyjdzie do protestujących ani się ich nie przestraszy. Lepiej więc w Święto Pracy zebrać siły i przygotować się do akcji protestacyjnych po długim weekendzie.

PIOTR CISZEWSKI,
*przewodniczący Stowarzyszenia
Historia Czerwona*

1 Maja powinien być dniem protestu, zwłaszcza obecnie, kiedy są pieniądze na wojnę i zbrojenia, natomiast nie ma ich na cele socjalne, edukację, ochronę zdrowia, poprawę sytuacji pracowników. Gdy narasta kryzys, którego pierwsze symptomy są już widoczne, pracownicy powinni pokazać, że są zorganizowani i gotowi do walki.

PIOTR KRET,
*Wolny Związek Zawodowy Zmiana
– Jedność Pracownicza*

To jedyne święto, które pozostało pracownicze. Uważam, że trzeba je spędzić aktywnie, aby pokazać pracodawcom, że to nas, pracowników, jest jednak większość. Właśnie my powinniśmy nadawać ton temu świętu. To mogą być pochody, festyny. Ważne, abyśmy ten dzień świętowali. Oczywiście na miarę XXI w. Kapitałiści okłamali nas, wmawiając, że ten dzień jest komunistycznym świętem. Warto przypomnieć, że to nieprawda, nawet jeśli w dawnych czasach obchody 1 Maja były największe.

*Rozmawiał
Kornel Wawrzyniak*

Do kogo naprawdę trafiają środki na pomoc Ukrainie?

Zdecydowana większość, bo 80-90% właśnie zatwierdzonych funduszy „dla Ukrainy” nigdy nie opuści granic USA

Jakub Dymek

Amerykańska Izba Reprezentantów zgłasowała za przekazaniem „60 mld dol. pomocy zbrojeniowej Ukrainie”. Wydawać by się mogło, że nastąpił przełom, który kwestionować mogą tylko ludzie złej woli. A jednak wziętem te słowa w cudzysłowach, bo żadne z nich nie jest prawdziwe. Ani 60 mld, ani pomoc, ani to, że Ukrainie.

W rzeczywistości mniej niż jedna piąta tych środków kiedykolwiek zasili ukraiński budżet i sektor prywatny.

USA postanowiły określać jako pomoc dla Ukrainy także wydatki na własne siły zbrojne.

I nawet przewidziane w pakiecie 10 mld dol. na te cele podlega zwrotowi, o ile prezydent nie postanowi po 2026 r. inaczej. Cała reszta – czyli zdecydowana większość, bo 80-90% właśnie zatwierdzonych funduszy „dla Ukrainy” – nigdy nie opuści granic USA. Jak to możliwe?

Dzieje się tak zarówno z powodu wybranej metody pomocy, jak i podwójnego księgowania środków, co nawet o 100% zwiększa nominalną wartość „pakietów pomocowych”. Już tłumaczę. Po pierwsze, USA postanowiły określać jako „pomoc Ukrainie” także wydatki na własne siły zbrojne i przekazywać je niejako oprócz pieniędzy regularnie wydawanych przez Pentagon. Przykładowo w projekcie z grudnia 2022 r. 5 mld z 28,5 mld dol. pomocy dla Ukrainy zarezerwowane było na „działania i koszty osobowe sił zbrojnych USA”. W aktualnym „pakiecie

pomocowym” jest to 7,3-11,5 mld z 60 mld dol., a więc proporcja jest podobna. Są to środki, które nigdy nie miały trafić do Ukrainy ani do ukraińskich sił zbrojnych, lecz mieszczą się w nich wydatki na utrzymanie sił USA w Europie (w tym premie, dodatki oraz diety za pracę żołnierzy i urzędników poza granicami USA). Zgodnie z tym założeniem, dodajmy, Polska powinna liczyć jako „pomoc Ukrainie” niemałą część budżetu własnego MON i niemałą część nowych kontraktów zbrojeniowych, m.in. na czołgi, samoloty bojowe i śmigłowce.

Sprawa idzie jednak dalej. Bo nie na tym kończy się tak naprawdę wspieranie przez amerykańskie publiczne pieniądze amerykańskiej gospodarki, zdolności wytwórczych i hojnych dywidend dla sektora prywatnego. W logice kolejnych „pakietów pomocy” wsparcie militarne USA dla Ukrainy ma tak naprawdę charakter pakietu stymulacyjnego dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. Zdecydowana większość deklarowanych środków – dwie trzecie całości programów i ok. 80-90% ich komponentu militarnego – wydawana jest na zamówienia sprzętu oraz na granty mające zwiększyć zdolności produkcyjne. Lub uruchomić linie montażowe, które od lat były nieczynne.

W ten sposób, jak chwaliła się niedawno Victoria Nuland, wicesekretarz stanu i czołowa zwolenniczka pomocy Ukrainie

w administracji Joeego Bidena, „większość tych pieniędzy zostaje w USA, wydawane jest w USA i pozwala tworzyć dobrze płatne miejsca pracy”. Przekonywanie, że pomoc Ukrainie się opłaca, ponieważ tworzy miejsca pracy w USA i wzbogaca amerykańskie kieszenie, stało się zresztą w ostatnich miesiącach przekazem, z którym w kampanii próbują się przebić do wyborców Biden i demokraci. Sam prezydent podkreśla, że pieniądze wydawane są nie w Ukrainie, ale w Arizonie, Alabamie, Teksasie czy Pensylwanii. Dodatkowo pieniądze te w postaci subsydiów pomagają zachęcić globalne firmy zbrojeniowe do inwestowania w USA, a nie w Europie. Dobre wiadomości z punktu widzenia amerykańskiej gospodarki i potęgi przemysłowej? Jak najbardziej.

Do tamtejszych firm trafiają bowiem nie tylko pieniądze z zamówień na sprzęt dla Ukrainy (oraz kolejne zamówienia od sojuszników, którzy Ukrainie coś przekazali), ale także kolejne zamówienia na uzupełnienie zapasów! Również one – czyli wydatki na zastąpienie przekazanego sprzętu – są zapisywane jako „pomoc Ukrainie” w kolejnych pakietach pomocowych. To właśnie zjawisko podwójnego księgowania.

Mówiąc brutalnie, jeśli USA przekazały Ukrainie czołg Abrams, a następnie zabudżetowały środki na produkcję i kupno jeszcze nowszego czołgu Abrams, to obie te pozycje trafiają do jednej ustawy i są przedstawiane światu jako „pomoc Ukrainie” warta miliardy (także wtedy, gdy sprzęt czy amunicja nie tylko nie zostały jeszcze dostarczone, ale nawet wyprodukowane). Dzięki temu każdy wydatek można



Jeśli USA przekazały Ukrainie czołg Abrams, a następnie zabudżetowały środki na produkcję i kupno jeszcze nowego czołgu, to wydatki te trafiają do jednej ustawy i są przedstawiane jako „pomoc Ukrainie” warta miliardy.

liczyć dwa razy – i tak właśnie się dzieje – w kolejnych pakietach. Nie trzeba więc tłumaczyć, że realna ilość sprzętu dostarczonego Ukrainie znacznie odbiega od tego, co można sobie wyobrazić na podstawie kwot podawanych w kolejnych doniesieniach medialnych. Inaczej jest z pomocą humanitarną i finansową – czyli jedyną bezpośrednią pomocą dla budżetu ukraińskiego państwa – której USA nie księgują podwójnie,

Do pakietów pomocy wliczane są pozycje luźno związane z pomocą Ukrainie, np. „remont i budowa wzmocnionego płotu wokół ambasady amerykańskiej”.

w rezultacie zatem dają trzykrotnie mniej niż kraje i instytucje UE.

Na tym jednak nie koniec, bo do pakietów pomocy wliczane są też pozycje o nader luźnym związku z „pomocą Ukrainie”. Na przykład „remont i budowa wzmocnionego płotu wokół ambasady amerykańskiej”, środki na inwestycje mające wypierać chińską Inicjatywę Pasa i Szlaku, granty dla amerykańskich agencji federalnych, pożyczki dla takich państw jak Kolumbia, Peru, Wietnam i Maroko oraz składki na programy Banku Światowego.

W ten sposób USA nadal mogą prywatyzować zyski z wojny w Ukrainie i przenosić jej koszty – w tym wypadku na Europę. Cały czas przekonując, że to Unia Europejska za mało wydaje na zbrojenia, za mało sprzętu przekazuje Ukrainie i nie pomaga jej wystarczająco. Nawet jeśli rzeczywiste proporcje między bezzwrotną pomocą i środkami przekazanymi Ukrainie bezpośrednio mocno się różnią od tego jednostronnego obrazka.

Będą oczywiście tacy, którzy powiedzą, że lepsze tyle niż nic i że ostatecznie coś do tej Ukrainy jednak trafia. Ale ich argument jest chybiony. Spór nie toczy się o to, czy cokolwiek trafia, lecz o to, dlaczego te pakiety mają taki charakter. Przecież taka konstrukcja pakietów pomocowych odwleka realne dostarczenie sprzętu przy równoczesnym wielokrotnym zawyżaniu jego wartości (czy nie to samo polska debata publiczna zarzuca od lat Niemcom lub Francuzom?). A jednocześnie jest wygodną metodą kupowania poparcia w trakcie

kampanii prezydenckiej. I propagandowym narzędziem szantażu wobec innych państw NATO, żeby – nie mając nic więcej do przekazania z linii czy nie mogąc wyprodukować natchemiasz zaawansowanej techniki wojskowej – złożyły kolejne zamówienia w tych samych fabrykach, które już dotuje Biden. W ten sposób Ukraina wprawdzie nie dostaje pomocy na czas ani za darmo, za to amerykańska zbrojeniówka i jej akcjonariusze nie cierpią głodu.

Gdyby bowiem wyjąć z kolejnych „pakietów pomocy” wszystko, co nie trafia do Ukrainy albo stanowi „pomoc” w bardzo, bardzo szerokim sensie tego słowa, mogłoby się okazać, że Waszyngton wcale nie uważa pomocy Ukrainie za wyzwanie o tak wielkim znaczeniu, jak zwykliśmy myśleć.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



20 lat w Unii

Słodko-gorzka rocznica

Mieliśmy świadomość, że jeśli nie wstąpimy teraz, to nie wiadomo kiedy. A od tego zależy nasze miejsce w Europie

Rozmawia Robert Walenciak

Pamiętam, że kiedy stawał pan przed sejmową komisją spraw zagranicznych, prezentowano pana jako kandydata na ambasadora przy Unii Europejskiej. To był styczeń 2002 r., pierwsza grupa ambasadorów nowej ekipy. Musiał pan bronić Europy, m.in. przed Romanem Giertychem.

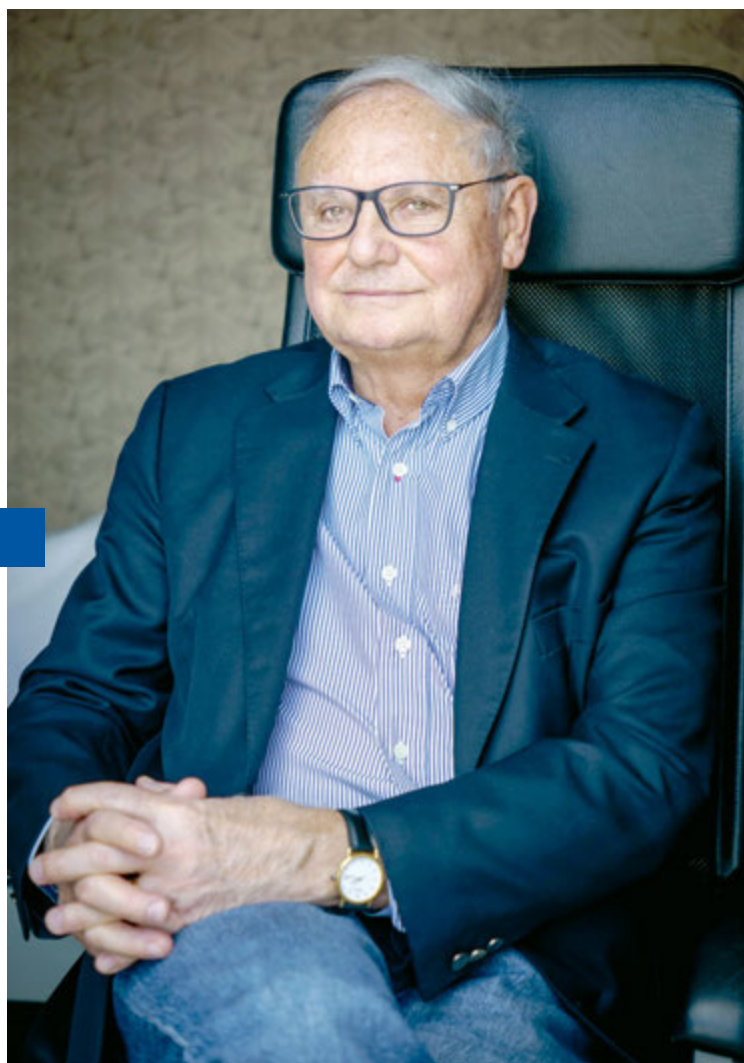
– Pamiętam to bardzo dobrze. Miałem za zadanie przygotować Stałe Przedstawicielstwo przy UE w Brukseli do członkostwa Polski w Unii i kierować nim po naszym wstąpieniu. Wysłunięcie mojej kandydatury na to stanowisko przyjąłem z zaskoczeniem i – nie ukrywam

DR HAB. MAREK GRELA

– wielkim zadowoleniem. Sprawami integracji europejskiej zajmowałem się od czasów studiów, potem pracy w dyplomacji i w pracy naukowej. Pewne rzeczy ujawnił niedawno Marek Siwiec. Że była nieformalna narada, w której uczestniczyli prezydent Aleksander Kwaśniewski, premier Leszek Miller, szefowa UKIE Danuta Hübner. Wtedy zdecydowano, że placówkę w Unii przejmę ja. A wysuwany na nią wcześniej Iwo Byczewski zostanie ambasadorem w Królestwie Belgów.

Polska była wtedy w trudnej sytuacji. Znalazła się, co było spadkiem po rządach Jerzego Buzka i szefa UKIE Ryszarda Czarneckiego, w drugiej lidze państw kandydujących. Mieliśmy dziurę Bauca, jednoprocentowy wzrost i rekordowo dużo niezamkniętych rozdziałów negocjacyjnych. Przyspieszenie negocjacji – to był program nowego rządu.

– Nie uczestniczyłem bezpośrednio w negocjacjach, chociaż byłem obecny na wielu spotkaniach. Prowadził to Jan Trusczyński,



Marek Grela – dyplomata, ekonomista, wiceminister spraw zagranicznych (1997), ambasador RP przy Unii Europejskiej (2002-2006), dyrektor w Sekretariacie Generalnym Rady Unii Europejskiej w Brukseli (2006-2012), a następnie w europejskiej służbie dyplomatycznej.

a na innym szczeblu Danuta Hübner. Ale, już jako ambasador, byłem informowany i ja też informowałem. Odbywałem dziennie po kilka spotkań. Z ambasadorami innych krajów, z pracownikami instytucji europejskich, ale również z ekspertami z think tanków, grup nacisku.

Chcieli nas zostawić na brzegu

I jak?

– W wielu środowiskach panował spory sceptycyzm. Brał się z tego, że Polska była największym organizmem, który wstępował do Unii. A nie wszyscy byli za wielkim rozszerzeniem, o dziesięć państw. Istniała wtedy koncepcja tzw. małego rozszerzenia, o cztery-pięć krajów. W tej grupie miały być Estonia, Czechy, Węgry, które wtedy świetnie się prezentowały, jeśli chodzi o sprawność administracyjną, oraz Słowenia.

Chyba jeszcze Malta.

– Cztery lub pięć państw miało przystąpić w ramach małego rozszerzenia. Francja zachowywała wtedy dwuznaczne stanowisko. Oficjalnie deklarowała, że popiera duże rozszerzenie, natomiast nieoficjalnie... W wielu ośrodkach panował sceptycyzm, czy polska gospodarka sprosta konkurencji ze strony Unii, gdy zostaną otwarte granice.

Ten pogląd był wyraźnie artykułowany?

– Wiele mówiąca była dla mnie rozmowa z Romanem Prodim, ówczesnym przewodniczącym Komisji Europejskiej. Przeszedłem składać listy uwierzytelniające wiosną 2002 r., nastawiałem się raczej na ogólną rozmowę, a tu niespodzianka. Trochę porozmawialiśmy o Rzymie, pracowałem tam jako przedstawiciel Polski przy agendach ONZ, a potem zapytał: „Niech mi pan powie, ale zupełnie szczerze: czy Polska chce do tej Unii, czy Polska nie chce?”.

Zaskoczył pana.

– Potem zrozumiałem, dlaczego pytał. Przypomnijmy sobie tamten czas. Samoobronę, która wysypywała zboże na tory. Wielkie napięcie z powodu produktów z krajów UE, aktywizacja przeciwników Unii! Oczywiście mówiłem, że zrobimy wszystko, że to jest priorytet rządu itd.

Szczerze pan mówił?

– Dla Leszka Millera najważniejszym zadaniem było załatwienie naszego członkostwa w UE. Był zderminowany. Zwłaszcza że wiedzieliśmy, że sprawa nie jest przesądzona. Nasi sojusznicy z dziesiątki nie byli jednoznaczni, niektórzy uważali, że nie warto czekać na Polskę.

Polskę na lodzie chciał zostawić Viktor Orbán.

– Ale również Estonia. Bo małe rozszerzenie będzie prostsze, łatwiejsze do strawienia – taki był argument. A my mieliśmy świadomość, że niewstąpienie w dużej grupie to nie jest przesunięcie o rok czy dwa

Rozszerzenie miało swoje koszty. Dotknęły one zwłaszcza polską prowincję. Te małe zakłady, które padały jeden po drugim, bo nie spełniały norm sanitarnych!

lata, tylko w ogóle znak zapytania na przyszłość. Że od tego zależy nasze miejsce w Europie. Stąd determinacja prezydenta, premiera, ministrów. Że albo teraz, albo...

Widziałem ich determinację

Widział ich pan z bliska. Byli w tej grze wartością dodaną?

– Kwaśniewski! Znał mnóstwo ludzi. Znał premierów, znał Prodiego... Ale też chciał być poinformowany i nie robił tego tylko przez ambasadę, ale miał swoich emisariuszy. Regularnie przyjeżdżał do Brukseli Dariusz Szymczycha odpowiedzialny za przygotowanie w Polsce referendum. Dobrze zorientowany był Marek Siwiec, doradca prezydenta. Aleksander Kwaśniewski uważnie śledził sytuację, w razie potrzeby wspierał działania rządu. Nie bez przyczyny został nagrodzony tytułem Europejczyka Roku przez European Voice, przejęty później przez Politico. I Leszek Miller! On z kolei miał szczególnie dobre stosunki z brytyjskim premierem Tonym Blairem.

A z kanclerzem Schröderem?

– Również. Ale w Brukseli podczas posiedzeń Rady Europejskiej lubił spotkać się z Blairem. Raz miałem okazję być przy takiej rozmowie. Tony Blair udzielał mu uwag na temat

Unii i jej funkcjonowania, różnych polityk itd. Blair lubił Millera. A Miller chętnie go słuchał, o różne rzeczy się dopytywał. Wiadomo, wszystko było na jego barkach. Ja w ogóle uważam, że rząd Leszka Millera poległ nie wyłącznie przez Rywina, ale także z powodu niepopularnych decyzji, które wziął na siebie w tym czasie. Dziś to się pomija. A faktem jest, że rozszerzenie miało swoje koszty i musieliśmy je przyjąć. Dotknęły one zwłaszcza polską prowincję. Te małe zakłady, które padały jeden po drugim, bo nie spełniały norm sanitarnych! Zmiany w strukturze gospodarki. Za to Miller zapłacił.

Zastąpił go Marek Belka.

– Belka był stosunkowo krótko, ale zaprezentował się od najlepszej strony. Był lubiany i szanowany. Odegrał dużą rolę w negocjacjach pierwszej perspektywy finansowej, choć nie doczekał ich finalizacji. On przy negocjacjach finansowych nie potrzebował doradców. Znakomicie sobie radził sam. Obliczał w głowie szybciej niż inni. Utrzymywał też świetne stosunki z szefami innych państw. Znał języki, miał wiedzę ekonomiczną i umiejętność rozwiązywania trudnych spraw. Był dowcipny, partnerzy lubili z nim rozmawiać, na przerwach zawsze był otoczony wianuszkiem kolegów. Ambasadorem byłem również w czasach premiera Marcinkiewicza. Była jesień 2005 r.

Dobrze go pan wspomina.

– Jako osobę skromną, zapewne onieśmieloną małą wiedzą o integracji europejskiej i wówczas niedostateczną znajomością angielskiego. Mówił po rosyjsku, co zauważyłem, gdy przed jednym z posiedzeń Rady Europejskiej podeszła do niego Angela Merkel i zaczęła mówić do niego w tym języku. Kiedyś poprosił mnie, że ze swoim zespołem chciałby się spotkać na lunchu w centrum Brukseli i porozmawiać. Proszę bardzo! A ponieważ nie powiedział mi bezpośrednio, że mam być, zostałem ▶

► w ambasadzie. I nagle telefon: że czekają na mnie, co się dzieje? Więc mówię: „Panie premierze, nie powiedział mi pan, że ja też...”. A on: „Jak pan mógł nie pomyśleć, że jest pan moim najbliższym współpracownikiem w Brukseli?”. To było sympatyczne i otwarte. To jeszcze nie były czasy agresji.

Dlaczego Niemcy były za Polską?

Wróćmy do negocjacji. Na kogo mogliśmy w naszych staraniach liczyć?

– Nikt oczywiście nie sprzeciwiał się wprost. Były trzy ośrodki. Pierwszy to Niemcy. Niemcy powiedziały wyraźnie partnerom, czy chcieli służyć, czy nie, że rozszerzenie bez udziału Polski nie ma sensu.

Dlaczego tak kalkulowały?

– Dlatego, że dla nich przyłączenie Polski to była najważniejsza sprawa. Zapewne na pierwszym miejscu były względy historyczne. Przestrzeń geopolityczna! Również gospodarcza, ale przede wszystkim geopolityczna. Chciały mieć stabilne sąsiedztwo. To, co z innej perspektywy i w innych okolicznościach myślimy dzisiaj, mówiąc o sytuacji na wschodzie. Chodzi nie tylko o Ukrainę, ale i o Mołdawię, o bezpieczeństwo krajów bałtyckich. Chcemy mieć stabilne sąsiedztwo.

Kto jeszcze nas popierał?

– Wielka Brytania. Znamy te wszystkie wyczulenia brytyjskie, żeby integracja nie była zbyt głęboka, żeby skupiała się głównie na sprawach handlu, jego liberalizacji. Oni postrzegali Polskę jako sojusznika, także politycznego.

Już wtedy?

– Tak, już wtedy, zwłaszcza wtedy... Chcę dodać, że spore było oddziaływanie brytyjskie na polskie władze, że dostawałem instrukcje ścisłej współpracy w różnych sprawach, zresztą słusznie, z przedstawicielem brytyjskim. U nas rządziła lewica, w Wielkiej Brytanii Partia Pracy Tony'ego Blaira, uznawanego wraz z Clintonem za twórcę koncepcji „trzeciej drogi”. Trzecim ośrodkiem wspierającym nas były kraje skandynawskie. Zwłaszcza Szwecja i Dania.



Ambasador Marek Grela składa listy uwierzytelniające przewodniczącemu Komisji Europejskiej Romanowi Prodiemu, kwiecień 2002 r.

Tak na marginesie dodam, że jak ustalano pierwszą prezydencję nowych krajów na okres uwzględniający powiększenie, zdecydowano, że będzie to się odbywało w schemacie: kraj starej Unii – kraj nowy – kraj stary. Żeby ci nowi mogli się uczyć. Nam przypadł dopiero rok 2011. I ambasador Danii, który był niezwykle życzliwy dla Polski – myślałem, że nie tylko osobiście, ale miał także instrukcje, żeby nas wspierać – mówił mi: „Gdy była dyskusja o prezydencji, zaproponowałem, żeby Polska miała ją razem z Danią”. Potem dodał: „Powiem ci szczerze, że nikt ze starych krajów nie chciał z Polską”. Było to dla mnie dość przykre. To nie był komplement. Ale to był kolejny sygnał, że istniał niepokój co do funkcjonowania Polski w Unii. I poczucie obowiązku, żeby nas uświadamiać, że nic nie jest przesądzone.

Wszystko poszło lepiej

Pisał pan o tym do Warszawy?

– Sceptycyzm w Brukseli był wtedy wyraźny i uznałem, że byłoby nieprofesjonalne z mojej strony o tym nie informować. Powodem sceptycyzmu były też względy negocjacyjne, by wywierać na Polskę większą presję i skłaniać nas do ustępstw.

Jak to było przyjmowane?

– Niekiedy część naszych polityków źle odbierała informacje, które stawały pod znakiem zapytania datę naszego członkostwa. Jeden z polityków spytał, czy Grela spotyka się w Brukseli z właściwymi ludźmi.

A kto był sceptyczny wobec Polski?

– Pewna część biurokracji brukselskiej, niektóre kraje wrażliwe na punkcie kosztów rozszerzenia. Przewodniczący Günther Verheugen, komisarz ds. rozszerzenia. Ogólnie panowała silna presja.

Mieli powód – polityka rolna, dopłaty do rolnictwa, kwestia dopuszczania polskich pracowników do rynku pracy, okresy przejściowe, korupcja w Polsce. Tych problemów, o które rozbijały się negocjacje, była cała masa.

– Istotna była także skala kraju. Mieliliśmy i stocznie, i kopalnie, i huty, i rolnictwo – bardzo zróżnicowane – i przemysł rolno-spożywczy, wtedy zacofany. A co np. miała Malta? Problem zmniejszenia produkcji w stoczni w La Valletcie i zakaz wiosennych polowań na ptaki. Bo takich polowań zabrania unijne prawo. Nic więc dziwnego, że uwaga w pierwszym rozszerzeniu skupiała się na Polsce. Panował niepokój. To mi powtarzali wszyscy po kolei, i w instytucjach,



2006 r. Misja ambasadora zakończona. Marek Grela zostaje doradcą Javiera Solany ds. stosunków transatlantycznych.

i szefowie placówek: „Czy Polska wytrzyma presję konkurencyjną na jednolitym rynku europejskim?”. I, pamiętam, równo rok po rozszerzeniu Henryka Bochniarz, przewodnicząca Lewiatana, zorganizowała konferencję w Krakowie, na której przedstawiła wyniki za pierwszy rok członkostwa. Ku zaskoczeniu Polska bardzo szybko zwiększyła eksport. Napłynęło też wiele inwestycji zagranicznych. Mieliśmy wzrost gospodarczy. Wszystko poszło lepiej.

Policja dokumentów nie sprawdzała

Wtedy prowadzono gorące dyskusje, ile pieniędzy Polska dostanie. Czy załapiemy się na dobre dopłaty czy nie.

– To zdominowało postrzeganie Unii w Polsce: ile dostaniemy? Oczywiście pieniądze nam się należały i należą, ale nie należą się wiecznie. Trzeba patrzeć, jak Hiszpania czy Irlandia przetykały kolejne obcinanie środków unijnych. Powiedziały: myśmy już swoje dostali. Inna rzecz, że te środki mądrze wykorzystają. Społeczeństwo powinno mieć świadomość jeszcze innych rzeczy. Swoboda podróży, dostęp do rynku pracy, możliwości kształcenia. I drugi obszar, kluczowy dla wszystkich,

którzy zajmują się wytwórczością nie tylko towarów, ale i usług – dostęp do jednolitego rynku europejskiego.

Największy rynek na świecie. Wielkie możliwości.

– Gdy przystępowaliśmy do Unii, PKB Polski wynosił z grubsza 45-50% przeciętnego unijnego PKB, dzisiaj to 80%! Dokonaliśmy wielkiego skoku. Wszyscy z niepokojem patrzyli, czy nam się uda. Patrzą – a tu wzrost eksportu, napływ kapitału. Bo są wykwalifikowani ludzie, jest renta geograficzna, bliskość największego partnera. Wtedy patrzyliśmy z podziwem na Hiszpanię, jak potrafiła wykorzystywać środki unijne. Dzisiaj to Hiszpanie nie mogą się nadziwić, jak Polska wygląda.

Pan 1 maja 2004 r. był w Brukseli.

– To było ogromne przeżycie dla nas, dla moich pracowników. Mogliśmy pierwszy raz poczuć się pełnoprawni. Dzień wcześniej wciągnąłem unijną flagę na maszt w ambasadzie. A następnego dnia odbył się na Grand-Place w Brukseli wielki koncert polski, na który przyszło kilkanaście tysięcy ludzi, głównie Polaków. Z flagami. Wzruszające wydarzenie. Ale warto wspomnieć, że wcześniej było referendum, w dniach 7-8 czerwca 2003 r. W Brukseli zainteresowanie nim było olbrzymie. Wtedy w Belgii przebywało nielegalnie kilkanaście

tysięcy Polaków. Pracowali na czarno. Nawet rozeszła się plotka, że w czasie referendum policja będzie sprawdzać dokumenty tym stojącym przed ambasadą. Ale polska ambasada w Brukseli spisała się na medal, rozmawiała z policją i uzyskała od niej przyrzeczenie, że nikt dokumentów nie będzie sprawdzał. Tę wiadomość rozpuszczono wśród szerokiej Polonii.

Cofnijmy się do pierwszych miesięcy pana pracy w Brukseli.

– Moim zadaniem było wspieranie negocjatorów, zbieranie informacji i rozmowy. A przede wszystkim zbudowanie sprawnego przedstawicielstwa przy Unii. Bo to nie jest klasyczna ambasada, to przeniesienie administracji państwowej, we wszystkich resortach, żeby na miejscu załatwiać sprawy. To tysiące dokumentów, debat, nieustannych spotkań, które są poświęcone proponowanym zmianom w legislacji unijnej. A ona działa jak żywy organizm, który przystosowuje się do sytuacji gospodarczej, do zmian w świecie, do działań innych partnerów.

Miał pan odpowiednich ludzi?

– Nie miałem problemów ze specjalistami od finansów czy gospodarki, ale... Na przykład ochrona środowiska, niezwykle ważna część ustawodawstwa unijnego, a brakuwało fachowców. Z czego to się brało? Z tego, że Ministerstwo Środowiska nie miało wówczas specjalistów od spraw unijnych i od współpracy międzynarodowej. Po prostu nigdy tym się nie zajmowało. W sprawach rybołówstwa zatrudniono osobę z sektora prywatnego.

Nikogo nie zwolniłem

Przejmował pan placówkę po zmianie rządu. Wie pan, do czego zmierzam.

– Wiem. I odpowiadam: nie zwolniłem ani jednej osoby. Dokończyłem pewnych przesunięć, to wynikało z oceny pracy, kwalifikacji, z bieżących potrzeb. Chciałem, żeby ludzie mieli poczucie stabilności, inwestowali w podniesienie swoich kwalifikacji, bo przecież wszystko się zmieniało. Nikt z nas nie wiedział do końca, jak się funkcjonuje w Unii, jak to wszystko działa za zamkniętymi drzwiami. ▶

► **Gdy już zobaczyliście tę unijną kuchnię, byliście zaskoczeni?**

– Unia nie chciała, żebyśmy byli zaskoczeni. Po zawarciu traktatu w Atenach, w roku 2003, uzgodniono, że pierwszy rok, do maja 2004, będzie tzw. okresem obserwatorskim. Uczestniczyliśmy więc we wszystkich posiedzeniach, od spotkań ambasadorów po grupy robocze, i przyglądaliśmy się, jak to funkcjonuje. Były też inne inicjatywy. Ambasador jednego z państw skandynawskich zaprosił mnie i grono współpracowników, żebyśmy przez jeden dzień z nimi pracowali. Żeby zobaczyć, jak przedstawicielstwo funkcjonuje.

I zobaczył pan?

– Oczywiście! Przy okazji zobaczyłem inną niż nasza specyfikę pracy. Dam panu przykład: długo rozmawiałem z ambasadorem, jak działa przedstawicielstwo, i w pewnym momencie zapytałem go, ile ma sekretarek i czy szefowie wydziałów je

Ministerstwa w Warszawie nie potrafiły pracować w tempie Brukseli?

– To wymagało przestawienia pracy administracji. Dam przykład: minister pracy wiedział, jakie posunięcia czynić na rynku pracy w Polsce. Ale w szerokim aspekcie, unijnym, to była dla niego nowość. Podobnie jak fakt, że wiele aspektów jego działania w kraju jest przedmiotem polityki unijnych. Trzeba lat, by to wszystko zaczęło dobrze grać. To nie był tylko mój kłopot. Pozostałej dziewiątki nowych ambasadorów też.

Walec PiS to zmiażdżył

Wszyscy musieli Unii się uczyć?

– Unia wymaga doświadczenia. Dyplomaci w Brukseli pracują wiele lat, ambasadorzy nierzadko pięć-osiem lat, a znam rekordzistę, który był 12 lat. Bo tu trzeba zachować ciągłość w wielu sprawach. To są ludzie, o których bardzo się dba, mają

podziwu i satysfakcji. Nie uczestniczyłem w tym bezpośrednio, ale pomyślałem sobie: jednak coś osiągnęliśmy, pokazaliśmy kompetencję, sprawność administracji. Dziś zbliżamy się do prognozy nowej prezydencji. I gdzie są ci ludzie?

Nie ma ich w służbie dyplomatycznej?

– W większości rozpięchli się. Jechał walec PiS, który to wszystko miażdżył. W ich miejsce jechali ludzie typu pana Sadosia, który w ogóle na to stanowisko się nie nadawał. Jak Politico opublikowało ranking stałych przedstawicieli przy Unii, to on znalazł się na ostatnim miejscu. Węgier był dużo wyżej od niego, mimo że Węgry Orbána regularnie dawały się Unii we znaki. To był ranking anonimowy, przeprowadzony wśród wszystkich ambasadorów UE, którzy porównywali profesjonalizm. Nie chodziło o poglądy! I polski ambasador wyładował na ostatnim miejscu. Do tego doszliśmy. Niestety, największe koszty pisowskich zawirowań w Polsce ponosi Polska. Nie uda się tych strat, które ponieśliśmy, szybko wyrównać. Dlatego dla mnie 20-lecie członkostwa w Unii jest trochę gorzką rocznicą. Słodką i gorzką zarazem! Bo jest o sukcesach, ale i o wielkich błędach, przede wszystkim ostatnich ośmiu lat. To był czas bezmyślnego niszczenia. Wypchnięto z MSZ wielką grupę ludzi młodych, świetnie rokujących. Teraz nikt tego nie pozbyra.

Piotr Serafin, nowy ambasador w Unii, nie pozbyra?

– Z wielką przyjemnością przeczytałem, że stanął na czele przedstawicielstwa. Pamiętam go z Kopenhagi, z zakończenia negocjacji akcesyjnych w 2002 r. Dwudziestoparoletni chłopak stał obok nas, błyskawicznie w głowie obliczał, miał wszystko w małym palcu, podpowiadał w okamgnieniu dobre rozwiązania. Przez ostatnie lata pracował w instytucjach unijnych, w tym u boku byłego przewodniczącego Rady Europejskiej Tuska. Jestem przekonany, że zbuduje na nowo zespół, jakiego Polska potrzebuje.

Unia wymaga doświadczenia. Dyplomaci w Brukseli pracują wiele lat, bo trzeba zachować ciągłość w wielu sprawach. To ludzie, o których się dba, mają unikatową wiedzę.

mają. Odpowiedział: „Mamy dwie sekretarki. Jedna jest moja, druga dla wszystkich. Więcej nie potrzeba, każdy sobie pisze na komputerze”. I dodał: „Słuchaj, żeby u nas był etat sekretarki, to musi być zgoda parlamentu na powiększenie placówki”. To mi uświadomiło, że jednak jest różnica.

Potem wszedł pan za te zamknięte wcześniej drzwi.

– I pojawił się problem – zajmowanie stanowiska. Otóż na spotkaniach unijnych ambasadorów COREPER, czyli komitetu stałych przedstawicieli, przedyskutowywane są najistotniejsze kwestie dotyczące różnych problemów integracji europejskiej, najmniej – problemy polityczne. A ja niekiedy nie byłem w stanie zabrać głosu! Dlaczego? Dlatego że przez wiele miesięcy najczęściej przygotowaną w instrukcji formułą, którą miałem do przedstawienia na spotkaniu ambasadorów, było: „Proszę poinformować, że sprawa jest dla Polski w tej chwili przedwczesna”.

unikatową wiedzę. Oni później awansują, najczęściej do instytucji unijnych. Stanowią kręgosłup promocji interesów swojego kraju.

Czy Polska ma takich fachowców?

– Opowiem panu historię. Przychodzi rok 2011. Już nie pracowałem w MSZ. Złożyłem rezygnację we wrześniu 2006 r., za rządów Anny Fotygi. Na moje miejsce, po trzech miesiącach, wystany został Jan Tombiński. Ja z kolei wygrałem konkurs do pracy w sekretariacie Rady Unii Europejskiej, byłem współpracownikiem Javiera Solany. I nadchodzi ów rok 2011, czas pierwszej prezydencji Polski w UE. Obserwowałem to z boku. Byłem na różnego rodzaju spotkaniach z ramienia Rady Unii. Widziałem polskich delegatów. Wielu młodych ludzi, trzydziestolatków, którzy nie tylko mówili pięknie po angielsku, ale i po francusku, a to jest w kulturze biurokratycznej Unii ważne, lecz przede wszystkim byli kompetentni i mądrzy. Przygotowaliśmy prezydencję na piątkę. Byłem pełen

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Rozdarcie

W maju 1794 r. w Warszawie wyrosły szubienice. Insurekcja wystawiła rachunek za niczemność i zdradę. Naczelnik Kościuszko prowadził sprawę twardą ręką. Przyjmując najwyższą i niepodzielną władzę, stawał pomiędzy niebem i ziemią, w rządzie postaci mitologicznych. Aż strach pomyśleć, jak wielu ludzi miernych zasług, o skłonnościach prowincjonalnych megalomanów, wprowadzono do naszego narodowego panteonu. Postać Kościuszki pozostaje często w ich cieniu. Tymczasem jest on bohaterem otwierającym przestrzeń wielkiej przemiany.

W czasie insurekcji rodził się nowy mit założycielski. Upływ wieków przekształcił go w podręcznikową kliszę, nie rozumiemy już głębokiej dramaturgii tamtego momentu dziejowego. O jego wadze przesądziło pytanie uderzające w nasz splot słoneczny – pytanie o zasady polskości. Po jednej stronie stawały wiara i kult rodzimości, po drugiej idea narodu obywatelskiego. Na całą tę kwestię swój mroczny cień rzuciła targowica.

9 maja, zgodnie z wyrokami sądu kryminalnego, na szubienicę trafili protagoniści zdrady – hetmani Piotr Ożarówski i Józef Zabiełto, marszałek Rady Nieustającej Józef Ankwicz oraz biskup inflancki Józef Kossakowski. W nawiasie dodajmy: we wrześnie egzekucji uniknął biskup chełmski Wojciech Skarszewski. Jego dwie kochanki błagały naczelnika Kościuszkę o zmiłowanie. Pomogło, naczelnik zmienił wyrok śmierci na dożywotnie więzienie. Zemsty ludu nie uniknął biskup wileński Ignacy Massalski – został powieszony 28 czerwca, bez żadnego wyroku.

Co mamy na myśli, mówiąc o targowicy, jak rozumiemy mechanizm zdrady? Dlaczego uczestniczyli w niej biskupi? O wszystkim przesądziło bardzo głębokie rozdarcie. Kościół miał swojego wielkiego wroga – masonów. Przy tej okazji zaznaczymy: obóz reform, autorzy Konstytucji 3 maja, to masoni (na czele z królem, jej głównym architektem Hugonem Kołłątajem oraz bratem króla, prymasem Michałem Poniatowskim). Kościół rzymski bardzo się obawiał fermentu, swoje nadzieje wiązał z wpływami Rosji. 24 lutego 1792 r. papież Pius VI wystosował brewe dziękczynne, składając hołd carcyce Katarzynie – nazwał ją „heroiną stulecia”. Stawił jej dzieła – w tym rozbiór Polski. Nieco później pobłogosławił też konfederację targowicką.

2 września 1792 r. w warszawskich kościołach odczytywano list bp. Antoniego Okęckiego, nawołujący do modłów gorących, „ażeby Bóg pobłogosławił pracom konfederacji generalnej, dla dobra ojczyzny podjętym”. Świadectwem nieprzejednania godzącego w dzieło Konstytucji 3 maja stała się publicystyka obozu targowicy.

Odnajdziemy w niej rozpaczliwe wołanie o powstrzymanie destrukcji. W taki właśnie sposób pojmowali bieg zdarzeń targowiczanie. Uderzali w dzwon trwogi – kierował nimi strach przed rewolucją, przed wpływami masonerii, przed radykalizmem traktowanym jako prawdziwa zaraza docierająca z Paryża.

Gra szła o wysoką stawkę – masoni racjonalisci wysunęli własną koncepcję zbawienia, opartą na wierze w odkupicielską moc rozumu. Kościół katolicki stawał do walki. Program naprawy, który wyszedł spod ręki masonów, traktowano jako obrazę wiary i naruszenie uświęconych przez tradycję praw narodu, jednym słowem pochód zła godzącego w podstawy porządku istnienia. Ostatecznie mamy więc przed oczami scenę prawdziwego dramatu – widzimy zderzenie racji, które skaczą sobie do gardła. Powstaje pytanie: kto zdradził, kto stanął po stronie godności i prawdy? Celebując dzieło 3 maja, wypada powiedzieć: zdradził Kościół. Potrafimy przyjąć takie stanowisko?

Jak to wygląda dzisiaj? Scena dziejowego dramatu przedstawia się dość podobnie. Masonów zastąpili

Celebując dzieło 3 maja, wypada powiedzieć: zdradził Kościół. Potrafimy przyjąć takie stanowisko?

„lewacy” i liberaltowie, miejsce Paryża zajęła Bruksela. Jedno się nie zmieniło – jej przeciwnicy traktują konszachty z Zachodem jako grzech apostazji. Obrona rodzimości chronić ma kraj przed utratą własnej twarzy – przed moralnym i politycznym wykorzeniem. Coś tu zaczyna się rymować. Gdzie jest zatem targowica? Także dzisiaj stają w szranki dwie koncepcje tożsamości, rysują się dwie linie działania, których ze sobą pogodzić nie można. Z jednej strony, widzimy pochwałę otwartej wspólnoty obywatelskiej, z drugiej, kult odrębności powiązanej z tradycją wiary. W 2015 r., po przejęciu władzy przez PiS, wydano wyrok na liberalną symbolikę emancypacji. Wszystko powoli stawało się „narodowe” – koncepcję społeczeństwa obywatelskiego potraktowano jako obce ciało, na piedestale stanęły koła gospodyń wiejskich. Nagle rozpetęła się nacjonalistyczna histeria wokół pojęcia suwerenności. Ideę społeczeństwa obywatelskiego zastąpić miała (dobrze znana z ONR-owskiej przeszłości) idea katolickiego państwa narodu polskiego. Bój trwa – zażarty, pełen afektacji. Ludzie stający po stronie Brukseli traktowani są jako zdrajcy. Tak toczą się nasze dzieje. Pomyślmy chwilę, zanim zaczniemy mówić o „targowicy”. ■